

Stankiewicz Zofia Akwaforta: Katedra w Chełmnie

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 MARCA 1937 NR. 13

Klara Scifi

Ponad domami, wieżami, zębatym murem Assyżu, ponad urwiskiem, lasem dębów i pinii, rozpierał się niemal na samym szczycie góry obronny zamek pełen wykuszów i szkarp. W kasztelu tym mieszkał hrabia na Sasso Rosso, Tavorino Scifi wraz z żoną Ortolaną i trzema córkami. Najstarsza z nich nazywała się Klara. Imię to wydawało się dla niej stworzone, bo Klara znaczy „jasna", a wygląd dzieweczki miał w sobie coś ze światła! Gibka, cienka w przegubach, prosta niby płomyk wśród bezwietrznej ciszy, Klara miała twarz bladą, oczy koloru bursztynu, włosy lśniące się w słońcu jak metal. Kiedy chodziła po zamkowych salach szumiąc kręgami brokatowych sukien, daleka i jakby zdziwiona, mieszkańcy Assyżu mówili, że jest najpiękniejszą dziewką z całej Umbrii — nazywali ją jasną, „przejasną" królewną.

Klara była uroczą! Miała lat 15 gdy różni magnaci starali się o jej względy, a waleczny, znany w całej okolicy Pietro Mazzancoli chciał ją poślubić za żonę. Rodzice byli z tego uradowani, Ortolana namawiała córkę na zrękowiny, cóż, kiedy panienka nie mogła się zdecydować na wiążące słowa. Pietro bywał na zamku towarzyszył Klarze, nosił jej barwy w turniejach, ale wielekroć pytał dziewczyny o swe dalsze losy, spotykał się z milczeniem jej cudnych, blado palących się oczu.

— Możesz się nie obawiać oporu naszej córki i uważać ją za swą narzeczoną — uspakajali młodzieńca Scifowie. — Klara zachwyca się wprawdzie klasztorną regułą, ale to zwykłe marzenia pobożnej dziewczynki! Poczekaj, bądź cierpliwy, jej usposobienie napewno się zmieni...

A jednak się nie zmieniło Miesiące mijały, lata i zimy przelewały się nad Umbryjską doliną, a Klara mówiła nadal, że chce służyć Bogu i Jemu jedynie się oddać.

— Kto ją do tego namówił? — pytali się teraz zaniepokojeni małżonkowie Scifi. — Czy istnieje ktoś kto mógłby ją odwieźć od tego zamiaru? Ktoś komu się zwierza? My jej nie pozwolimy zamknąć się w klasztorze!

Rodzice martwili się szukając, kto może być powiernicą dziewczęcia, a nie wiedzieli, że jedyną osobą, która zna ważność jej postanowienia, jest ich stara krewna, czerstwa, przysiadzista, drepcąca w sztywnych sukniach duegna Bona Guelfucci.

Ona rozumiała wszystko.

Kto namówił Klarę? Bóg w jej własnej duszy.

Kto ją utrwalił w tym postanowieniu? Poverello[1]) zwany Franciszkiem z Assyżu.

Bona pamiętała dokładnie pierwszą przemowę Franciszka, która odbyła się wiosną u stóp Sasso Rosso. Było przedpołudnie. Na tle słonecznych murów kazał ruchliwy człowiek w habicie przepasanym sznurem. Mówił całą osobą: duszą, palącymi oczyma, kiściami rąk, które wyrzucał raz po raz ku niebu, twarzą pełną natchnienia i jakby pławiącą się w nietutejszym świetle.

Tłumy słuchały go w naprężeniu. Na szafirze nieba kołysały się gałęzie oliwek, za kolumnami „ciostra"[2]) bełkotała woda w fontannie.

Słowa zakonnika przejrzyste i bardzo proste, porywały mocą. Jego ognista natura nie znała letniości. Mówił o naśladowaniu Chrystusa. Ukazywał ludziom królestwo Boże wewnątrz własnej duszy, wskrzeszał ich sumienia, zapalał ich wolę, mówił o szczęściu wolności i całkowitego oddania. Gdy skończył, serca ludzkie zapaliły się pragnieniem świętości i ciżba zafalowała trącona powiewem nowego Ducha.

---

[1]) Poverello — po włosku biedaczyna.
[2]) „Ciostro" znaczy po włosku klasztor.

Bona Guelfucci spojrzała wtenczas na swą towarzyszkę. Stała bez słowa, z dłońmi przy szyi, mrużąc oczy od niewidzialnego dla innych ludzi światła.

— Co ci jest Klaro? — spytała ją cicho kobieta. — Już skończył... Idziemy na zamek?

Ale dzieweczka nie odpowiedziała. Podniosła ciężkie powieki, przeciągnęła palcami po zbladłych policzkach i jęła się przeciskać w stronę gdzie szarzał franciszkowy habit.

— Nie idziesz do domu Klaro? — spytała ponownie duegna.

Milczenie.

— Poczekaj! nie przebrniesz przez taki tłum ludzi... Dokądże idziesz dziecko?

Na te słowa Klara odwróciła ku krewnej twarz pełną powagi i rzuciła krótko.

— Do niego. Za nim.

Od tej chwili Bona wiedziała, że córka Scifich pójdzie drogą, którą wskazywał Franciszek i że ludzie nie zmienią jej postanowienia. Rzeczywiście nic już nie było w stanie zachwiać młodej dziewczyny, ani lekceważąca postawa rodziców, ani namowy krewnych i szczera miłość Pietra, ani też po wielu miesiącach, gniew i groźby jej ojca.

Na wszystkie perswazje Klara miała tylko jedną odpowiedź:

— Wybrałam to, co jest najlepszego w życiu. Chcę naśladować Chrystusa.

Czas mijał. Tovarino i Ortolana łudzili się jeszcze nadzieją, że ich córka zmieni zapatrywania, a Bona Guelfussi wiedziała z zupełną pewnością, że Klara ślubowała Bogu i że może niedługo, może nawet dzisiaj...

Była Palmowa Niedziela. Piękny, słoneczny, pachnący pierwszymi narcyzami marcowy dzień 1212 roku. Klara ubrana w robronową suknię, jak na tak wielkie święto przystało, snuła się w milczeniu pod sklepieniami zamku. Wyglądała bardziej zamyślona niż zwykle. W czasie nabożeństwa zapomniała oddać przyniesioną do poświęcenia wiązkę palmowych gałęzi (tak, że sam biskup Gwidon zbliżył się do niej by odebrać palmy), teraz znów nie brała udziału w rozmowach, patrzyła na ludzi dalekim wzrokiem, jakby nie słysząc ich głosu.

Kiedy po ukończonej wieczerzy weszła do Bony wydłużona fałdami płaszcza i bardzo spokojna, stara przyjaciółka zrozumiała, że nadeszła chwila nieodwołalnej decyzji.

— Siadajże moje dziecko — rzekła zdejmując z zydla motki barwionej przędzy. — Dobrze żeś do mnie przyszła...

Klara usiadła, spojrzała w płomień lampy, który odbił się żółto w jej oczach, poczem rzekła krótko,

— Moja droga Bono. przyszłam się z tobą pożegnać. Idę do klasztoru.

— Teraz?

— W tej chwili. Nikt o tym nie wie w zamku.

— Próbowałaś ostatni raz przekonać rodziców?

— Próbowałam. Nie chcą.

— Dlaczego się tak śpieszysz? Nie możesz jeszcze czekać?

— Nie mogę, Bóg mnie teraz woła. Mówiłam o tym z Franciszkiem.

— A cóż on na to? Pozwala?

— Czeka na mnie dziś wieczór przy Portjunkuli. Nie mówiłam ci o tym, bo wiem, że będzie ci smutno bezemnie...

Bona Guelfusi wstała. Jej twarz o mocnych szczękach i zrośniętych brwiach miała wyraz skupienia, jej głos był niemal surowy.

— Co tu wspominać o mnie, o moim żalu — rzekła — kiedy chodzi o rzecz tak ważną jak Boże wołanie! Nie lękasz się. Masz w żyłach krew ludzi odważnych, wielkich ryzykantów...

Zatrzymała się i dodała szybko.

— Chcesz? Pójdziemy po raz ostatni do twojego ojca, może jednak pozwoli...

Klara zrobiła przeczący ruch głową, mówiła z twarzą opartą na splecionych dłoniach.

— Z moim ojcem? Po co? Powiedział, że za nic nie pozwoli, nigdy... On pragnie mojego małżeństwa z Pietrem. Cóż chcesz, moi rodzice są dobrzy, ale jak chodzi o ród, o wielkość... Przecież ich znasz.

Nastała chwila ciszy. Pierwsza przerwała ją duegna.

— Więc to koniecznie dzisiaj?

— Takie dałam słowo.

— To idź! Wierzę, że Franciszek jest świętym...

Odetchnęła głębiej i mówiła jak gdyby do siebie.

— Ha, trudno! w życiu trzeba ciągle wybierać. Wybór... wybór... od tego wszystko zależy... Ale tobie Bóg kazał wybierać będąc bardzo młodą...

Klara przymknęła oczy.

— Nie ma wieku, gdy chodzi o Boże wołanie...

Wstała nagłym ruchem. Duegna otworzyła skrzynię pod ścianą i wyjęła z niej płaszcz, który poczęła wciągać na ramiona.

— Dokądże idziesz Bono?

— Dobre sobie. Przecież cię samą nie puszczę.

— Moja ty kochana, najlepsza!

— Cicho dziecko, nie trzeba się teraz rozczulać. Jaką idziemy drogą?

— Przez starą furtkę, bo tam nie chodzi wartownik.

— Słusznie.

Zgasiły światło, zarzuciły chusty na swe czepce i cicho, cichutko wyszły z pałacu Scifich.

Noc była jasna. Kobiety prześlizgnęły się wzdłuż krużganku, przywierając ciałem do kamiennych kolumn, zstąpiły po schodach i stanęły w pobliżu starej furty. Była ona mała, zagłębiona w murze i zatarasowana kawałami drzewa. Dziewczyna rzuciła się ku nim pragnąc odepchnąć zaporę. Boże, jakież to ciężkie na kobiece dłonie. Mocowała się chwilę z rozpaczą i bezskutecznie. W końcu, wyprężona całą siłą mięśni, klara wsparła się nogami o mur, jęknęła z wysiłku i sekundowana żelazną prawicą Bony, ruszyła stos desek. Była ocalona. Doskoczyła do furtki, przekręciła klucz w zamku, poczem pchnąwszy drzwi wyszła wraz z duegną z obrębu groźnych murów.

— Jesteśmy wolne! — szepnęła dysząc z wysiłku.

— Bóg cię prowadzi — rzekła jej towarzyszka.

Wędrowniczki poczęły ostrożnie zstępować po ruchomych głazach góry Sasso Rosso. W tej wiosennej nocy obezwładniająco ciepłej i straszliwie cichej odgłos ich kroków nabierał znaczenia i wagi. Przed nimi wrastał las, w którym leżała Portjunkula, nad nimi chwiały się gwiazdy patrzące w niską ciemność.

Obie kobiety zanurzyły się w bór. Dokoła było czarno i pachniała gorycz piniowych gałęzi. Klara postępowała w cieniu woniejącej nocy z pulsującymi skroniami, sercem pełnym olśnienia i nieograniczonej tęsknoty. Kiedy wyszła na polanę osypaną księżycowym szronem, zatrzymała się by spojrzeć po raz ostatni na rodzinny dom. Wznosił się na twardym niebie ciężki i niedostępny, bez świateł na wieżach, a nad nim lśnił biały miesiąc w strzępach perłowych chmur.

Dziewczyna wyciągnęła ręce ku swojej przeszłości. Poruszyła ustami, nakreśliła nad domem znak pogodzenia, poczem ruszyła dalej ku swemu przeznaczeniu.

Z tamtej strony polany stał kościół Porcjunkuli. Wędrowniczki poznały jego mury świecące na tle zamglonej dali, a w chwilę potem zobaczyły szereg płomyków, które sunęły wśód drzew. Pochodnie zbliżały się coraz bardziej. Ich światło dotykało już gmatwaniny krzewów, owijało się natarczywym lśnieniem dookoła, wy-

rywało z cienia zakapturzone głowy idących.

— Bracia po mnie przychodzą — rzekła Klara przystając — tak było umówione...

Rzeczywiście zakonnicy stali już w pobliżu, otaczali dzieweczkę, witali ją chrystusowym imieniem i prowadzili za sobą, śpiewając werset Palmowej Niedzieli.

Dzieci izraelskie biegną naprzeciw Jezusa,
Niosąc gałęzie oliwne i wołając:
Chwała Panu na wysokościach!
Hosana in Exelsis!

Doszli wolniutko do Porcjonkuli. U wejścia kaplicy stał Franciszek szczupły i jakby zmalały na tle jasnego wnętrza.

Zbliżył się do córki Scifich.

— Czy nie zmieniłaś postanowienia, Klaro? — spytał łagodnie. — Czy chcesz być sługą opuszczonego Jezusa?

— Tego tylko pragnę, mój ojcze!

— To wdziej zakonne szaty i wnijdź do Bożego Domu.

Klara zrzuciła szybkim ruchem płaszcz z ramion. Stała teraz opromieniona chwałą swej młodości, wysoka i strojna, w brokatowej sukni, która migała w księżycowym świetle zielono i srebrnie.

Podniosła ręce do twarzy, odpięła zausznice, zerwała naszyjnik, poczym zaczęła zdejmować pierścienie i klamry.

— To wszystko na kościół, ojcze.

— Trzeba jeszcze oddać twe złote włosy, Klaro...

Zrzuciła lity czepiec, wyjęła obramowany turkusami grzebień i okryła się chustą falujących włosów.

— Piękne — szepnął ktoś z widzów.

Klara spuściła głowę, rozległ się zgrzyt nożyc przy skórze i miękkie, złociste, naciekłe światłością włosy poczęły się sypać wzdłuż dziewczęcych ramion.

Skończone. Klara wrzuciła mniszą opończę na suknię, wciągnęła kaptur aż po same brwi i weszła do kościoła z podniesioną głową, patrząc olśnionym wzrokiem w Chrystusowy krzyż.

*

Tego samego wieczora zakonnicy odprowadzili siostrę Klarę do klasztoru benedyktynek w Isola Romaneska. Wieść o jej wstąpieniu rozeszła się piorunem po umbryjskiej ziemi. Taworino wraz Pietrem Mazzancoli przyjechali błagać ją, aby wróciła do świata, lecz ona odpowiadała im tylko z bardzo radosną twarzą:

— Nie mogę drodzy, nie mogę... Bóg mnie powołał. Jego jestem sługą...

I pozostała na zawsze w klasztorze.

Pia Górska.

O ŚWICIE

Na niebie pierwsze wschód blaski zapalił
i świat różany nieśmiało zagościł —
— przyszły niewiasty wraz z Marią z Magdali
niosąc łzy bólu, zioła i wonności.

„Gdy Ciebie nie ma, Panie — i nam nie żyć“...
Czemuś opuścił?“ — szepcą drżące usta.
Spotkał je okrzyk struchlałych żołnierzy! —
Stało się! Kamień odwalon, grób pusty!...

Zadygotały im serca, jak dzwony!
Idą, w rannego idą słońca złocie;
dusza w zachwycie tonie rozmodlonym
i lęk nią włada i przeczucie pociech...

Cały świat uczci wnet Boskiego Syna.
A teraz tylko ciche służebnice,
a teraz tylko ta ranna godzina
znają największą Jego tajemnicę...

Alina Kwiecińska.



D. Chodowiecki. *Miedzioryt: Artysta z rodziną.*

Mocna woda

W numerze poprzednim, na okładce, widniała reprodukcja obrazu przedstawiającego artystę-grafika w jego pracowni. Jest to portret jednego z francuskich, a ściśle mówiąc belgijskich akwaforcistów. Mniejsza w tej chwili o jego nazwisko. Ciekawsza sprawa to jego specjalność. A jest nią akwaforta.

Mężczyzna z bródką, na reprodukcji, wpatruje się z uwagą w trzymaną w rękach odbitkę akwafortową. Jest to arkusz papieru, na którym (w odpowiedniej prasie, przypominającej budową zwykłą wyżymaczkę) artysta przed chwilą właśnie wytłoczył farbę z płytki metalowej (miedzianej) — leżącej jeszcze na blacie prasy. Płytka ta, gdybyśmy ją mogli wziąć do rąk i przyjrzeć się jej zbliska jest pokryta kreskami, które są wklęsłe. Farba, jaką artysta-grafik wtarł w owe wklęsłe kreski, dzięki naciskowi między wałkami prasy, przeniosła się właśnie na papier przyłożony do powierzchni płytki. Reprodukcje w dzisiejszym numerze przedstawiają kilka takich odbitek — akwafort.

Ale skąd się wzięły wklęsłe kreski na miedzianej płytce?! O! to cała historia. Ten sam pan z bródką z okładki poprzedniego numeru „Dziś i Jutro" dokonał szeregu zabiegów, zanim mógł wreszcie przyjrzeć się akwaforcie ostatecznie gotowej. A więc przede wszystkim pokrył swą płytkę (lśniącą lustrzaną gładkością) cieniutką warstewką wosku, który potem zasmolił kopciem ze specjalnej świecy.

Wtedy igłą, zwyczajną igłą oprawioną w drewnianą jakby obsadkę, rysował w wosku tak, żeby odsłonić powierzchnię miedzi. Dzięki temu, że wosk był okopcony na czarno, a miedź

błyszczy, artysta widział doskonale każdą kreskę.

Kiedy już to, co chciał narysować, zostało przezeń narysowane (igłą w wosku), przyszła kolej na nową fazę pracy.

Płytka została zanurzona w kamiennej misce z roztworem kwasu azotowego lub siarczanego. I kwas dosięgnąwszy, w miejscach zdrapanego igłą wosku, powierzchni miedzi, zaczął ją „trawić". Następowała reakcja chemiczna, dzięki której te odsłonięte miejsca pogłębiły się, zrobiły się wklęsłe.

Kiedy artysta uznał wklęsłości za dostatecznie głębokie, zmył wosk i wtedy mógł, wtarłszy w owe wklęsłości farbę, zrobić w prasie odbitkę.

Oczywiście to, co tak prędko opisałem, trwało długo i nie było tak proste. Owszem, było skomplikowane. Wymagało wielkiego doświadczenia i zdolności.

*

Słyszeliście napewno nazwisko takie jak Rembrandta np., wielkiego artysty holenderskiego, którego akwaforty są chlubą muzeów. Wspaniały ten artysta (malarz i grafik) dał światu kilkadziesiąt akwafort wzruszającej piękności. Rozmiłowany w efektach światło-cienia, w akwafortach swoich dał Rembrandt szczególnie wymowne wizje głębokich mroków, szarości mgielnych i olśniewających bieli. Kompozycje tych ciemności i świateł pełne napięcia dramatycznego natchnęły później niejednego artystę do pójścia w ślady mistrza, dla tego też można uważać Rembrandta za patrona akwaforty.

Ileż to zawdzięczają jego przykładowi taki majster italski jak Giovani Piranezi z XVIII wieku i amerykański wielkiej miary artysta współczesny Frank Brangwyne.

Przy okazji możecie obejrzeć ich dzieła w polskich zbiorach rycin.

Z polskich nazwisk znacie zapewne Brandla, Pankiewicza, Siedleckiego, Łopieńskiego, Stankiewiczównę,



Zorn ze swą żoną. *Akwaforta.*

że wymienię pierwsze z brzegu. W króciutkiej notatce niemożliwe jest powiedzieć wielu rzeczy ciekawych o akwafortach, więc na tem kończę chcąc na razie, abyście zdali sobie sprawę co to za raróg ta akwaforta.

Muszę tutaj jeszcze tylko dodać, że można bezpośrednio igłą drapać powierzchnię metalu, bez uciekania się do działania kwasu. Tak wykonana rycina nazywa się „suchą igłą" i podobna jest pozornie do akwaforty, ale tylko pozornie.

Można też rytować w miedzi linie rysunku przy pomocy rylca (również na sucho). Odbitka z tak pokiereszowanej płytki zwie się sztychem. Jeżeli jest wykonana na miedzi, nazywa się miedziorytem czyli sztychem na miedzi, a jeżeli ją wykonano na stali zwie się stalorytem.



Rembrandt. Akwaforta. Przekupień wioskowy.

Z nazwisk wybitnych miedziorytników polskich trzeba znać m. i. Chodowieckiego, Oleszczyńskiego, Ziarnkę, F. St. Jasińskiego. Z obcych mistrzów, autorów sławnych arcydzieł, między innymi znacie napewno nazwisko Dürera.

*

Wszystko to bardzo możliwe, powiecie teraz, ale skąd ten tytuł dzisiejszy „mocna woda"?

O! poprostu dlatego, że takie ma znaczenie po polsku łacińska aquaforta.

Oto cała tajemnica!

Wracając zaś jeszcze do pana z bródką, na okładce poprzedniego numeru, rozumiecie teraz, dlaczego tak pilnie patrzy w „jeszcze gorącą" odbitkę akwafortową. Po tylu zabiegach nie osiągnąć wymarzonego efektu byłoby dla artysty bardzo bolesnym.

No, a poza tym, prawdopodobnie ów artysta pragnąłby dorównać swemu wielkiemu koledze, czarodziejowi, „mocnej wody" Rembrandtowi!

Ponieważ zaś ja sam, także kilkanaście akwafort w swoim życiu zrobiłem, więc dlatego dobrze rozumiem uczucia pana z okładki.

Po dzisiejszym moim nudzeniu, być może, i wy także je zrozumiecie.

T. Cieślewski, Syn.



A. Dürer. Miedzioryt: Melancholia.

Matylda Wrede — przyjaciółka więźniów

(Dokończenie)

— W takim razie nazywa się pani Matylda i jest pani córką gubernatora. Ale ojciec pani znany był ze swej piękności i siły, podczas gdy pani... — nie dokończył mierząc ją oczyma.

Matylda roześmiała się swobodnie.

— Cóż robić — odpowiedziała wesoło — nie każdy może być tak pięknym, jak mój ojciec albo... Matti Haapoja...

Tak, nie była zwyczajną kobietą Matylda Wrede, córka gubernatora, szlachetnego barona Wrede. Każdy musiał to przyznać. Matti siadł na pryczy i spoglądał na nią w zamyśleniu. Ona zaś ciągnęła żartobliwie:

— Myślę, że nie powinien pan mi pozwolić stać, podczas gdy pan siedzi.

— Nie mam krzesła — uciął krótko — obok Matti Haapoja zaś nikt nie ośmieli się usiąść.

Okazało się jednak właśnie, że Matylda ośmieliła się uczynić to, czego nikt inny nie śmiał. Usiadła przy nim na brzegu pryczy i nawiązała po swojemu rozmowę tak prosto z duszy i serca. I wtedy stało się coś, co przeszło jej najśmielsze oczekiwanie. Oto ledwo skończyła mówić, gdy więzień z głośnym szlochem usunął się na ziemię . Z bezładnych jego słów bił żal i rozpacz bez granic. Matylda siedziała nieporuszona, najlżejszym ruchem nie zdradzając swej obecności. Ona, która mimo młodych lat tak dobrze zdążyła poznać serca ludzkie, wiedziała, że przełomu w swej duszy człowiek o własnych tylko siłach dokonać nie może. Wolno dźwignął więzień ociężałą głowę.

— Stało się — powiedział z wysiłkiem — serce moje otwarło się na głos Boga... Reszty niech już On sam dokona. Ale teraz mam prośbę do pani. Tam, za drzwiami słyszeli, jak upadłem na ziemię. Teraz myślą sobie: Matti płakał, Matti się modli. Jak tylko zostanę sam, przybiegnie od razu pastor, naczelnik więzienia i strażnicy, a ja nie chcę nikogo z nich widzieć. Więc czy by pani mogła pozostać ze mną aż do zamknięcia bramy, siedząc tak cicho i spokojnie, jak dotąd...

Matylda skinęła głową. Nie chciała nic mówić, zresztą żadne słowo nie przeszłoby przez jej ściśnięte wzruszeniem gardło...

I tak siedzieli przy sobie w milczeniu na pryczy więziennej w zapadającym mroku wieczornym, — młoda kobieta i zbrodniarz, podejrzany o siedmiokrotne zabójstwo.

Przez trzydzieści lat pracowała Matylda Wrede wśród swych przyjaciół więziennych. — Wizytowała zakłady karne, opiekowała się całym zespołem więziennym, jako i każdym przestępcą z osobna, poza tym zaś starała się utrzymać kontakt z więźniami i po odsiedzeniu kary, pomagając w znalezieniu pracy.

O stosunku jej do więźniów mówi najwymowniej jej wystąpienie na kongresie międzynarodowym, poświęconym zagadnieniom przestępczości. Oto jeden z przedstawicieli Francji wygłosił odczyt, w którym dowodził niezbicie, że niepoprawni przestępcy podobni są do nieuleczalnie chorych, że należy tedy myśleć wyłącznie o unieszkodliwieniu ich, rezygnując zupełnie z wysiłków nad ich podniesieniem. Kiedy skończył zabrała z kolei głos Matylda. Dla niej nie istnieli ludzie niepoprawni. „Prawa i systemy nie są w stanie zmienić serca jednego nawet zbrodniarza, ale Bóg może tego z łatwością dokonać". Tylko w pracy nad więźniami trzeba zwrócić baczniejszą uwagę na ich duszę...

Ciężkie i bolesne były dla Matyldy lata wojny światowej i rewolucji rosyjskiej. Z bólem serca widziała jak cele opuszczone przez zbrodniarzy wypełniły się tłumem „białych", jej krewnych, przyjaciół i znajomych, podczas gdy wielu dawnych przestępców znalazło się nagle na wysokich stanowiskach.

Matylda nie należała do żadnej partii, do żadnego stronnictwa, wszyscy ludzie byli jej drodzy i ci do których należała z urodzenia, i ci którym poświęciła najpiękniejsze lata swego życia.

Wanda Kieszkowska.

---

*) Artykuł napisany został na podstawie książki Ingeborg i Mavii Sick pt Matylda Wrede — l'Ami des prisoniers finlandais.

DESZCZ WIOSENNY

Padajcie złote promienie
w tarczę dzwoniącą jeziora.
Niech nas nad ziemię uniesie, mgieł triumfalny hymn.
Oto okrytych cieniem
błękit przez serce przeorał,
że tylko z dawnej goryczy niknący dym.

Czołom, sklejonym włosom
poranek będzie chrzcicielem,
zdala nasączy światłości dzwonów rytmiczny wtór.
Nie wołać straconym głosem,
nie burzyć pogodnej niedzieli,
prochy żałobne zsypać wnętrzom glinianych urn.

Chwała pod pieśnią schylonym,
wtulonym w pachnące grzywy
miedz napojonych przedwiośniem,
porwanych przez wiatru prąd.
To tylko dzień przewrócony,
to tylko uśmiech prawdziwy
na ustach rozwartych w czekaniu na ostateczny sąd.

Przyjdzie zmartwychwstań godzina.
Ziemia się wzburzy i spęka,
przejdą anioły przed Panem niosącym gałąź i miecz.
Zbudź się i nic nie wspominaj
poeto zgubiony w piosenkach —
pada przez słońce poranka pierwszy wiosenny deszcz.

(Zbiorek: Stopy w niewoli. Lublin. 1936.

Podstawka.

Do słońca

Droga, jak to zwykle droga: była dobra, bo nie była zła! Porządne warszawskie wagony niosły nas od godz. 17,10 jednego dnia przez cały następny do 7,50 trzeciego dnia. Warszawa—Rzym. Około 38 godzin jazdy — bo 1½ godz. postój w Wiedniu i tyleż w Wenecji.

Przesuwają się miasta, w przedziale zmieniają się ludzie.

W Wiedniu zdążyłam tylko w tempie expressu wpaść do kościoła św. Szczepana i pokłonić się wieżom i wieżyczkom gotyckim z chimerami. — Przez cudne witraże średniowieczne wpadał świt. Ambona! — cudo wyrzeźbione z dwóch bloków kamienia, rzeźby idące w głąb, warstwa pod warstwą, iście koronkowa robota. Pod amboną w zawsze uchylonym okienku, zawsze zasłuchana przepyszna głowa artysty, twórcy ambony.

Wracam niemal na ostatnią minutę. Nie mam czasu na śniadanie. Moja towarzyszka przezornie kupuje dla nas jakieś cudaczne stwory: w pergaminowym głębokim talerzu ryba z sosem i jarzynami. Do tego malutki drewniany widelec; wszystko hermetycznie zamknięte higienicznie, estetyczne — i słone! (w smaku, nie w cenie).

Dzień jest słoneczny. Parę stopni mrozu. Od samego Wiednia wzgórza, zrazu mniejsze, potem całkiem uczciwe, wreszcie, góry. Sławny Semmering. Przepych różnorodności kształtów: śmiałe szczyty z zameczkami i kaplicami, głębokie doliny, nad którymi suniemy wiaduktami wpadając w paszcze niezliczonych tuneli. Bujność lasów na zboczach. I śnieg! Taki cudny, rozsłoneczniony śnieg! Nie mogę oczu oderwać od coraz nowych widoków!

Nagle z drugiego końca wagonu młody, męski głos woła najczystszą polszczyzną:

— Moniek, dureń jesteś!

Odwracam się. W otwartych drzwiach stoi chłopak z aparatem fotograficznym, z przedziału pędzi do niego kolega perswadując, że źle trzyma aparat. Sądził, że tu, w Austrii mógł swobodnie rzucić swój komplement! Dowiedziałam się później, że to

dwaj studenci z Wilna, jadący na studia politechniczne do Pizy.

Góry maleją. Co jakiś czas wzgórza malownicze w bogatym zalesieniu. Koło Klagenfurt bajecznie długie jezioro.

Po południu formalności paszportowe zatrzymują nas w Treviso.

Żżymam się w duszy jak piskorz na patelni, bo właśnie słońce zachodzi, rzucając ostatnie refleksy na dzikie ośnieżone szczyty skalne, a tu inteligentni kolejarze zatrzymali pociąg przy krytym peronie. Okropność!

Z krzykiem i śpiewem wyładowuje się z sąsiedniego wagonu gromada młodych narciarzy w czarnych koszulach. Są okropnie głośni i opaleni.

Na innej stacji wpakowuje się do naszego przedziału jegomość w średnim wieku. Usadowiwszy się, rozkłada na ławce duży papier, na nim umieszcza bułki, szynkę i zaczyna kolację. Pulchnymi palcami rozdziela szynkę na długie pasma i unosząc je wysoko nad sobą wpuszcza do ust. Wygląda to tak rodzajowo i komicznie, że muszę udawać gwałtowny atak kaszlu! Jegomość zabiera się do pomarańcz i serdecznym, bezceremonialnym ruchem ofiarowuje i nam po pomarańczy. Jest to tak rozbrajająco proste, że odmówić nie można! Moja towarzyszka zna dobrze język włoski, więc gawędzi z jegomościem, a ja rozumiem prawie wszystko przez podobieństwo z łaciną i z francuskim. Jegomość opowiada o tegorocznej zimie, kiedy to raz temperatura spadła aż do — 6°, o Sycylii, gdzie pomarańcze są prawie za darmo, o Duce. Przez wszystko przebija przywiązanie do kraju i radość Włocha, że „esterni" podziwiają jego słoneczną ojczyznę.

Wenecja. Światła odbijają się w wodzie po obu stronach wiaduktu. Moniek i jego towarzysz idą obejrzeć choć trochę królowę Adriatyku, w towarzystwie Włocha, z którym porozumieli się po łacinie i na migi. My zostajemy w wagonie.

We Florencji studenci wysiadają, a za nimi z okna wagonu woła ktoś: „Niech panowie od walizki nie płacą więcej jak dwa liry!"... Wszędzie Polacy....

Całą noc mkniemy szybko. Świt zastaje nas nie daleko Rzymu. Mijamy Soracte. Przypomina się oda Horacego: „Vides, ut alta stet nive candidum Soracte!"... le dziś Soracte stoi ciemna, z kożuchem białej mgły u stóp.

Jedziemy obok Tybru. Mały. Woda robi wrażenie brudnej. Rozjaśnia się. Jedziemy rozległą kotliną wśród gór. Po obu stronach drogi charakterystyczne domki, zarośla zeszłorocznej kukurydzy i bezlistne wiechy winorośli. Szosą drepcą muły z wózkami naładowanymi warzywem.

Majaczy Rzym. Na dworcu ruch. W przejściu kolejarz odbiera bilet i mówi z uśmiechem: „Już skończony". Jest rad, że przyjechałam do stolicy jego ojczyzny.

Wita mnie ten jego uśmiech na progu nowej karty życia.

J. Szarska.

Rzym, 1. III. 37.

Ochrona przyrody a gospodarstwo domowe

Przypuszczam, że wszyscy Czytelnicy „Dziś i Jutro" wiedzą, co to jest ochrona przyrody i są gorliwymi wyznawcami tej idei.

Ale wiemy, że ideę nie dość głosić, trzeba ją umieć wprowadzać w życie. Tymczasem może się wydać niejednemu, że ochrona przyrody to coś oddalonego od codziennego życia, coś, z czem mamy bardzo mało styczności. Mylny ten pogląd polega na tym, że najczęściej wyobrażamy sobie ochronę przyrody jedynie jako tworzenie parków natury i rezerwatów i o-

chronę szczególnie rzadkich gatunków roślin i zwierząt, z tymi zaś sprawami przeciętny człowiek styka się istotnie dość rzadko. W rzeczywistości zaś ochrona przyrody dąży do zachowania całej naszej przyrody ze wszelkimi jej gatunkami zwierząt i roślin i z krajobrazem w stanie możliwie niezmienionym i zbliżonym do naturalnego, oczywiście o ile to jest możliwe ze względu na gospodarkę człowieka. Dlatego musi ona roztoczyć opiekę i nad gatunkami występującymi u nas często, a więc tymi, które mają większe lub mniejsze znaczenie gospodarcze w życiu codziennym człowieka. Rzecz prosta, że opieka nad takimi gatunkami musi mieć trochę inny charakter, niż ochrona gatunków rzadkich.

O zwierzęta domowe nie potrzebujemy się troszczyć, gdyż człowiek, hodując je, może zawsze tak unormować ich ilość, żeby ich nie zabrakło. Inaczej jednak ma się rzecz ze zwierzętami dzikimi, czyli z tzw. zwierzyną łowną. Gdybyśmy polowali na nie ciągle i zjadali je bez żadnych ograniczeń, łatwo mogłoby się zdarzyć, że wytępilibyśmy zupełnie niejeden ich gatunek. Żeby tego uniknąć, wydaje się ustawy łowieckie, które wyznaczają dla każdego zwierzęcia łownego tak zwany czas ochronny, to jest okres w roku, kiedy nie wolno na nie polować. Taki czas ochronny ma na celu zapewnienie danemu gatunkowi możliwości spokojnego rozmnożenia się, a zatem gwarantuje nam to, że gatunek ten nie wyginie.

Nie tylko zwierzyna łowna ma swoje czasy ochronne, zagwarantowane przez odpowiednie ustawy. Mają je także i inne dziko żyjące zwierzęta, które służą nam za pokarm, a więc np. raki. Dla niektórych ryb znowu ustanowiono przepisowe wielkości, poniżej których nie wolno ich łowić, to znaczy, że złowione na wędkę okazy mniejsze należy puścić z powrotem do wody.

Mógłby mię teraz łatwo ktoś zapytać, jaki związek ma to wszystko co napisałam, z gospodarstwem domowym. Przecież przestrzeganie czasów ochronnych dotyczy tych, którzy polują na zwierzęta, lub łowią je w jakikolwiek sposób, a gospodyni domu dostaje do kuchni zwierzynę, zabitą przez kogoś innego. Jest to słuszne, ale tylko do pewnego stopnia. Oczywiście, że trzymanie się przepisów ochronnych obowiązuje przede wszystkim myśliwych i rybaków. Każdy też prawdziwy myśliwy szanuje te przepisy. Niestety jednak oprócz myśliwych są na świecie i kłusownicy, którzy polują i łowią ryby, nie oglądając się na żadne przepisy ochronne. Wchodzą oni w ten sposób w kolizję z prawem i podlegają karom, jeżeli tylko przestępstwo ich zostanie udowodnione. Mimo to jednak upolowana przez nich zwierzyna dostaje się nieraz do handlu. I tu zaczyna się rola gospodyni w ochronie zwierząt. Rola ta polega na niekupowaniu zwierzyny, ryb czy raków, sprzedawanych w warunkach sprzecznych z ustawami ochronnymi.

I tu znowu mógłby mi ktoś postawić zarzut, że kuropatwie czy zającowi, sprzedawanym w czasie ochronnym, lub też pstrągowi nie odpowiadającemu przepisowym wymiarom nic już z tego nie przyjdzie, że go nie kupimy. Zapewne, że zabite zwierzę nie będzie mieć już z tego żadnej korzyści, zato korzyść z naszego kupna będzie miał kłusownik lub też niesumienny kupiec, sprzedający zwierzynę w czasie zakazanym. I ta korzyść zachęci go do przekraczania ustawy ochronnej w dalszym ciągu.

Pamiętajmy więc, że kupujący zwierzynę w czasie ochronnym staje się współwinnym łamaniu ustaw ochronnych przez to, że ułatwia kłusownikowi korzystanie z jego przestępstwa. Postępuje on tak, jak człowiek, który kupuje przedmiot skradziony, wiedząc, że on pochodzi z kra-

dzieży. Nic tu nie pomoże tłumaczenie, że nie można odnaleźć właściciela skradzionej rzeczy. Czyn zły pozostanie złym.

A że nikt z nas nie chce przecież szkodzić naszej przyrodzie, ani też przez nieświadomość przekraczać ustaw i rozporządzeń państwowych, bo to jest niegodne dobrego obywatela, powinniśmy zatem postarać się poznać ustawy ochronne, ażeby je później umieć właściwie zastosować w życiu codziennym.

Jadwiga Dyakowska.

Zwyczaje Wielkanocne

....Hałas, tartas, rwetes, wrzawa.
łoskot, łomot, jak w młocarni.
W izbie parno, ścisk, kurzawa, drzwi
wciąż skrzypią u śpiżarni.
Znoszą masła, jaja, sery, mąki, cukry i korzenie,
Jak jest w domu dziewek cztery, jedna się za drugą żenie...

(Z Glogera.)

Tak wyglądały w dworach szlacheckich dawnymi laty przygotowania świąteczne. Post minął, zabrzmiało „Alleluja", radość panowała w całej przyrodzie i w duszach ludzkich. Jak poważnym i cichym bywał post, tak wesołymi i hucznymi — Święta.

To, co we dworach było zabawą, ucztą, w chatach miało charakter obrządku. Święcone jadło bywało obfitsze, niż zazwyczaj, a pokosztować go musieli nie tylko domownicy, ale i cały inwentarz żywy.

U Hucułów z ciasta, przeznaczonego na święcone, z sera, jaj, słoniny itd. odkłada gaździna resztkę t. zw. bydlęcą. Wszystko to miesza, dodając odpadków z ula martwych pszczół, miodu, przy czym przemawia: „Ażebyś była tak staranną, taką przyjazną, tak lekką, jak pszczoła; jak ona siedzi przy kupie, powraca chociażby nie wiem dokąd poleciała i jedna nie zostawi drugiej... tak aby moje bydełko przez cały rok wracało do swojej komory i aby się płodziło jak pszczoła płodzi się i roi".

U ludu przeworskiego spożywano święcone na granicy pól, aby sprowadzić urodzaj.

Na Polesiu istnieje zwyczaj obchodzenia „Dziadów" wiosennych.

W czwartek po Wielkanocy, kobiety ubierają się odświętnie i wynoszą resztki święconego na mogiłki swoich bliskich. Tam odbywa się biesiada. Łamią kołacz, kruszą ser, wspominają zmarłych, zrazu smutnie, potem coraz weselej, wreszcie tłumnie i gwarnie wracają do wsi, nie przypominając swym wyglądem żałobnego obrządku.

Znamy takie uczty na cześć zmarłych z opisów dawnych pogańskich „styp". Czyż to nie echo tych czasów brzmi do dzisiaj?

W całym okresie wielkanocnym ogromne znaczenie obrzędowe ma woda. Na Pokuciu w Wielki Czwartek dziewczęta kąpią się o wschodzie słońca i rozpuściwszy warkocze na wodę śpiewają piosnkę do bożka „Wodana", z prośbą o urodę i młodość. To również pogańska tradycja.

Na Białorusi skoro świtać zacznie w dzień Wielkoczwartkowy, dziewczęta myją twarz w wodzie źródlanej.

W Sieradzkim w Wielki Piątek rano, przed wschodem słońca, gospodarz przynosi do chaty wodę ze strumienia bieżącego ze wschodu na zachód. Nie odzywa się do nikogo, wykonywa wiele praktyk, aby woda ta zabezpieczyła domowników od wszelkich chorób na cały rok.

Wszystkim chyba nasuwa się na myśl również dzień dyngusu, zwany lejkiem, oblewaczką, a obchodzony w drugi dzień świąt Wielkanocy.

„Oj puście nas puście, bośmy po dyngusie i dajcie nam co macie dać",

śpiewają chłopcy pode drzwiami gospodarza, a wpuszczeni z okrzykiem „śmigust, wodą chlust" oblewają domowników. Nikt się o to nie gniewa, przeciwnie, obdarza chłopców. Jeśli pominą czyjś dom, mają do nich żal.

„Tuście dziewcząt nie kąpali, idźcie sobie teraz dalej", mówią urażone dziewczęta. Śmigus miał wiele różnych form, ostatnio stał się niejednokrotnie trochę brutalną zabawą, a momenty obrzędowe zaginęły zupełnie.

Święta wiosenne, również znalazły swój wyraz w tym okresie.

Gaik, strojony przez dziewczęta, kogutek obwożony przez chłopców, chochoł ze słomy, topiony w wodzie, są to momenty obrzędowe, sięgające czasów pogańskich. Natomiast święcone jaja — pisanki wiążą się z tradycjami i legendami początków chrześcijaństwa — bezpośrednio po Zmartwychwstaniu Pana Jezusa.

Gustaw Morcinek w Gdyni

Klasa cała podniecona i rozgorączkowana:

— Morcinek przyjeżdża!

Czytałam wiele jego książek, jak: „Serce za tamą", „Chleb na kamieniu" itd. Podobały mi się one w swej prostocie i przemawiały do duszy. Pomyślałam więc: „Pójdę na odczyt". I poszłam. Sala była szczelnie zapełniona. Wśród obecnych przeświecały „granatowe mundurki", gwarzące wesoło między sobą. Po chwili wszystko ucichło. Wystąpił prezes Towarzystwa Czytelni Ludowych i w kilku słowach przywitał Morcinka na naszej gdyńskiej ziemi. Obok niego stał człowiek szczupły, wysoki o sympatycznym wyrazie twarzy. Był to właśnie ów powszechnie znany i ceniony pisarz. Zaczął mówić cicho i spokojnie. Opowiadał o śląskim górniku, który w obejściu z obcymi jest szorstki i „najeżony pieronami, ale serce jego to czyste złoto, z którego trzeba tylko umieć zdmuchnąć czarny pył węglowy".

Potem usłyszałam o znaczeniu polskiej książki na Śląsku, tej książki, która stała się ogniwem łączności między Śląskiem a Polską, o pionierach polskości na Śląsku to jest: o Stalinachu, Karolu Miarce i Cienciale. A dalej o powstaniach śląskich„ wzniecanych dzięki czytaniu „Trylogii" Siekiewicza. O poczytności tej książki świadczy fakt, że górnik, który zjeżdżał do szybu, do jednej kieszeni kładł kromkę razowego chleba, a do drugiej książkę polską. W wolnych chwilach siadał na uboczu i czytał te słowa polskie, przegryzając suchym, czarnym chlebem.

„Patriotyzm Śląska nie objawia się w patosach, górnolotnych frazesach, głośnych obchodach, wspaniałych manifestacjach, ale jest on zamknięty w niezdobytej placówce — w sercu górnika polskiego". Ciche były słowa Morcinka, pełne prostoty i piękna i trafiały do duszy głębiej niż pompatyczne deklamacje „najeżone frazesami". Z serca tego głęboko czującego człowieka kapał kroplami złoty miód i padał na dusze słuchaczy. Zdawało się, że on chce przelać w serca nasze całe swe umiłowanie ziemi śląskiej, pokrytej szarym pyłem węglowym. Gdy skończył poproszono go, by opowiedział bajkę w gwarze śląskiej i znów zaczął cicho: „Był sobie raz biedny szewc". Teraz zrozumiałam, w czym leży piękno jego książek: w prostocie i w dziecięcości jego duszy, którą tak wiernie oddaje słowami. I oto ten wielki Polak-patriota, co stworzył tyle pięknych utworów, jest tak jak my szarym, zwyczajnym człowiekiem, który miło rozmawia z nami „Urszulankami", rozdając na nasze prośby autografy.

„Wielkość leży w prostocie ludeczkowie roztomili".

Ewa Turkówna
IV klasa SS. Urszulanek.

Mazurek, co zawsze się uda: ½ kg rodzynków tureckich, ¼ kg drobnych czarnych rodzynków opłukać w wodzie zimnej, oczyścić, — ¼ kg migdałów sparzyć gorącą wodą, obrać ze skórki, pokrajać w grube kawałki, — 10 żółtek i 2 całe jaja utrzeć z ½ kg cukru miałkiego (pudru). Można dosypać 1 łyżkę pszennej mąki. Gdy jaja z cukrem i mąką będą tak utarte, że odstawać będą od donicy, wsypać rodzynki i migdały, wymieszać lekko, by nie zgnieść migdałów. Całą mieszaninę wyłożyć (na 1½ cm wysokości) na opłatki ułożone podwójnie na blachach i wstawić do ciepłego pieca na pół godziny. — Nie ubierać lukrem. Ozdobę stanowią sterczące przyrumienione migdałki.

Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w 1936 r.?

Takie ankiety umieszczają czasopisma literackie. — A czy „Dziś i Jutro" nie mogłoby pójść ich śladem?

To od Was, Czytelnicy, zależy. — Chętnie taką rubrykę otworzymy już w następnym numerze jeśli na tytułowe pytanie odpowiedzi nadeślecie.

Będzie bardzo ciekawy taki konkurs na książki! Nie wymieniajcie wielu książek. Dwie, trzy najwyżej. Takie, które za najlepsze, za najciekawsze uważacie i — o ile umiecie uzasadnijcie swój wybór.

Wakacje tuż — wycieczki też. — Jak zapakować koc? A no, tak: Z szarego płótna lub brezentu przygotować prostokąt tej szerokości co dany materiał, długości około 85 cm. Na obrębie szerokim na 3 cm przyszyć guziki. W przeciwległym końcu na obrębie zrobić dziurki. Kraj płótna zagiąć na 2 cm, przestebnować i przeciągnąć tasiemką do ściągania i wiązania. Na wierzchu pokrowca przyszyć cztery paski podwójnie zeszyte i przestebnowane do przeciągania skórzanych rzemyków. Kto w III klasie gim. przy szyciu plecaka nauczył się kapzlować i nitować, może zamiast rzemieni skórzanych wykonać paski z płótna.

Hanna L., Stanisławów.

— A jak upakować walizkę, żeby nie zgnieść rzeczy, a dużo zmieścić? — O, to dłuższa sprawa. Wyjaśnienie jej znajdziecie w Nr. 1 stycznia 1937 r., ciekawego pisma p. t. „Pani domu". Warto się z nim zapoznać. A może mamusi w podarunku na święta przywieźć? Adres redakcji: Warszawa, Nowy Świat 9.

Na pograniczu bolszewizmu w Ludwipolu, w diecezji Łuckiej został wybudowany drewniany kościół dla wojska pogranicznego i dla parafian. Na wykończenie brak środków. Brak najpotrzebniejszych rzeczy. Gorąco prosimy o pomoc! Prosimy potężnym wołaniem tych co życie swe oddali za Kresy wschodnie! Patrioci — Katolicy pomóżcie! Za ofiarodawców odprawia się 4 razy w roku msza św. po wieczne czasy.

Adres: Ludwipol na Wołyniu, ks. Proboszcz L. Samosenko.

Wszystkim Czytelnikom przesyłamy serdeczne życzenia wesołego „Alleluja"!

Za listy.

Liściki, łamigłówki, artykuły wszystkim co je przysłali serdecznie dziękujemy. Dla braku miejsca obszerniejsze odpowiedzi odkładamy na później.

Tymczasem Anetko Mikulanko, nadeślij swe próby pisarskie. Zobaczymy co z tego będzie! — Podolanko, „Marsz II Brygady" — spóźniony. Szkoda. Na deskach nie byłam! — Usarewicz, „W obronie Ojczyzny". Ładny temat, lecz forma wymaga jeszcze pracy. Ale pracować warto! Treść „dyskusji" omówimy później. J. Żukowska, Z. Botulińska, Nelly Geppert, łamigłówka dobrze rozwiązana. Jeszcze brak kilku odpowiedzi — ale to nie ja winna, tylko metrampaż! — Wiecie kto to jest?

Uwaga: Opowiadanie: „Klara Scifi" str. 194, oraz „Monte Sasale" Nr. 12 str. 180 stanowią rozdziały książki Pii Górskiej o Świętym Franciszku i jego towarzyszach. Dzieło to jeszcze w tym roku wyjdzie z druku.

Sprostowanie: Ilustracja Leli Pawlikowskiej podana w Nr. 11 „Dziś i Jutro" na str. 170 przedstawia nie św. Kingę, lecz św. Jadwigę, uśmierzającą fale Odry.

TREŚĆ N-ru 13:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł (za granicą 7 zł). — Numer pojedyńczy 30 gr. — Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930. — Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska. Red. odpow. i wydawca: Jadwiga Bahr. — Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31. — Administracji: Pokrzywno, p. Krzesiny. — Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna Poznań, św. Marcin 70.

ZAGADKA



— Działo się... lecz nie, nie powiem!.. Mądrej głowie — dość dwie słowie!
Co tu robią te żupany? — I ta jejmość, szlachta, pany?
Kto mi powie? Kto opisze wierszem... prozą?, — bardzo proszę!